



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE  
DLA DZIECI.



Józef Brandt.

## Józef Brandt.

Józef Brandt, jeden z najznakomitszych współczesnych malarzy polskich, urodził się w Szechrzeszynie r. 1841. Kształcił się początkowo w Warszawie, potem w Monachium, gdzie przebywa zawsze liczne grono artystów polskich. Brandt bardzo pięknie maluje konie i celniejsze jego obrazy przedstawiają pochody wojsk, w których konnica główna zajmuje miejsce. Nie będziemy tu wyliczać wszystkich utworów jego, których liczba ciągle wzrasta, wspomnimy tylko wspaniały obraz: *Chodkiewicz pod Chocimem*, który na wystawie powszechnej w Paryżu w r. 1867 zwrócił na siebie uwagę znawców. Inny obraz, *Powitanie Chrystu*, nagrodzony był złotym medalem na wystawie sztuk pięknych w Berlinie w r. 1877, a i w Paryżu wielkie pozyskał uznanie. Obraz ten przedstawia oddział Kozaków na koniach wśród traw stepowych, śpiewających i grających na torbanach i innych muzycznych narzędziach, jeden unosi sztandar z wizerunkiem Archanioła. Pomysł do tego obrazu wziął artysta z dumy Bohdana Zaleskiego *Wyprawa Chocimska*, z następujących zwrotek:

Trzema szlachy idą Lachy,  
A Kozaki czterma wałą;  
W trawach pławią się po pachy,  
Z rusznic pałą, świecą stałą,  
A chłop w chłopa, a koń w konia,  
Aż stękają w okół błonia.

Gody bracia! dzień wesoły!  
Jako mrówia--koni, luda;  
Lud i konie, jak sokoły!  
Nasz Archanioł sprawia cuda!  
Godyż, gody! Z boków, z przodu,  
Grzmi rozgłośna pieśń pochodu.

Pan Ataman w rozdźwięk huczny  
Ku torbanom kiwał głową;  
Urodziwy w ślad buńczuczny  
Wiał chorągwią malinową:  
Biały Anioł na atłasie,  
Mile śłaniał się w swej krasie.

## Ufność dziecięcia.

Już ja tam nie wiem, czemu to ludzie,  
Mówią o troskach, kłopotcie,  
Życie im całe upływa w trudzie  
I w ciężkim znoju, robocie.  
Bo pytam, czego czleku potrzeba,  
Gdy w górze czuwa Bóg święty;  
I gdy nad nami jest błękit nieba  
Jak namiot jasny rozpięty.  
Na tym namiocie, gęsto rozsiane,  
Światła precudne, złociste;  
Gdzie dusze czyste i nieskalane  
Znajdują życie wieczyste.  
Ach, gdyby można przez te światelka  
Dojrzeć aż Boga wśród chwały,  
Lub je wziąć do rąk jak bawidelka,  
Toby i lży się rozwiały.  
Bo wszystko, co się troską zachmurza,  
Toby światłością się lśniło,  
Aniby zboża zniszczyła burza  
I ohleba dostatek było.  
Ptaszki się nigdy o nic nie troszozą,  
Ni kwiatki, chociaż tak małe.  
Motylki na nich swobodnie goszczą,  
Barwiąc w kolory wspaniałe.  
Wszystko tak ufa, że jest Bóg w górze,  
Co nas otacza swą pieczęą,  
I śpiewa chwałę w serdecznym chórze,  
A troski pieśni uleczą.  
Wszak Bóg ukochał nas najgoręcej,  
I dał nam dary tak piękne,  
Więc ja w ufności mojej dziecięcej  
Nigdy się cierpień nie zleknię.  
A jeżeli kiedy zstał mi raczy,  
Smutki, cierpienia wraz z troską,  
To się pomodłę, On mi przebaczy,  
Miłością swoją ojcowską.

Z. Morawska.

## POGADANKI O SZTUKACH PIĘKNYCH.

## XV.

Budownictwo w Polsce.

*(Dokończenie).*

W początkach XVI wieku na tronie polskim zasiadła włoska Bona, wiodąc za sobą liczny orszak swych rodaków i usiłując na dworze zaprowadzić włoskie obyczaje. Przybyli też za nią i artyści włoscy, a ponieważ, jak wiemy, w tym czasie właśnie w całej już niemal Europie rozwijał się styl odrodzenia, czyli renesans, więc i w Polsce został wprowadzony. Tu jednak ten rodzaj architektury był czemś zupełnie obcym, nie wiązał się z zabytkami przeszłości narodowej, gdyż w Polsce nie widziano nigdy żadnych budowli rzymskich lub greckich; tu styl ostrołukowy przyswoił się był najlepiej i najwłaściwszym się okazał, najzgodniejszym z klimatem i usposobieniem narodu. Tymczasem artyści włoscy nie zwracali wcale uwagi na odmienne warunki otoczenia, nie pomyśleli o tém, że płaskie dachy zaciekać będą od deszczu, a piękne gipsowe sztukaterye i ozdoby popsują się od wilgoci i poodpadają. Zaczęli więc swoim ozdobnym tynkowaniem i gipsowaniem zastępować wszędzie trwałą cegłę polewaną. Kaplica Zygmunowska na Wawelu, według zdania znawców, przedstawia najpiękniejszy wzór renesansu w Krakowie, pochodzi bowiem z czasów, gdy styl ten nie był jeszcze skażony późniejszymi nieśmacznymi dodatkami baroko, rokoko i t. d.

Przy końcu XVI wieku stolica Polski przeniosła się z Krakowa do Warszawy. Niekorzystnie to bardzo wpłynęło na rozwój sztuki budowniczey. Nowa stolica daleko mniej posiadała pięknych dawnych gmachów, któreby za wzór służyć mogły artytom i powstrzymywać ich od zbyt skwapliwego wprowadzania nowości. Z drugiej strony styl odrodzenia zaczynał tracić pierwotną swoją piękność i przechodził w dziwaczne kształty baroku, a Warszawie dostały się właśnie takie wzory. W ciągu XVII i w pierwszej połowie XVIII wieku usta-

wiczne klęski nawiedzały Warszawę; wojny, pożary, wylewy Wisły, niszczyły miasto raz po raz, najpiękniejsze gmachy rozpadały się w gruzy i na nowo je trzeba było odbudowywać po każdej nowej klęsce. Tym sposobem ślady starożytnej architektury coraz więcej się zacierają i mało co z nich pozostało. Spokój nigdy nie potrwał długo, nie było też ani czasu ani ochoty do stawiania większych i okazalszych budynków. Zawsze szło głównie o pośpiech, gdyż powalone mury należało jaknajprędzej zastępować nowymi. Nietylko pałace, ale i świątynie budowano w taki sposób dorywczy, musiano też przytém i z funduszami ściśle się obliczać, gdyż kraj nie był bogaty. W XVII wieku stał jeszcze w Warszawie nie jeden kościół drewniany. I tak między innymi w r. 1682 rozebrano na Krakowskiem - Przedmieściu drewniany kościółek, a natomiast rozpoczęto dzisiejszy gmach Ś-go Krzyża, którego budowa trwała sto lat przeszło. Wizytki, sprowadzone z Francji przez Maryą Ludwikę, miały także w początkach klasztor drewniany, dzisiejszy murowany stanął dopiero w połowie XVIII wieku.

Pierwsze mury katedry Ś-go Jana pochodzą z XIV wieku i były budowane w stylu ostrołukowym, ale tyle razy rozszypywały się w gruzy i na nowo były przerabiane, że nie pozostało w nich prawie śladu pierwotnej postaci. Ostatecznie dopiero w r. 1840 odbudowano Farę warszawską według wzorów ostrołukowych. Inne stare świątynie ostrołukowe także do niepoznania zostały w różnych czasach przekształcone. Do najcenniejszych a najlepiej zachowanych zabytków dawnego budownictwa w Polsce, zaliczają znawcy kościół P. Maryi na Nowém-Mieście, zbudowany w XV wieku przez Annę Kiejstutównę, żonę Janusza, księcia Mazowieckiego.

W XVII i XVIII wieku najwięcej nowych gmachów budowano w Warszawie i przerabiano dawnych, a ponieważ wtenczas panował wszechwładnie ów renesans skażony, barokowy, wszystkie też prawie kościoły warszawskie mają na sobie cechy tej architektury. Szczególnie w ozdobach ołtarzy panuje wszędzie ten rodzaj fantastycznych

całów i floresów, misternych rzeźb, które są główną cechą spóźnionego renesansu.

Tymczasem w całej Europie architektura zaczęła się otrząsać z téj niesmacznej przesady i u nas zwrót ten nowy występuje za panowania Stanisława Augusta, który sztuki piękne bardzo miłował i znawcą był niepospolitym malarstwa i architektury. Mnóstwo pięknych budowli stanęło w tych czasach w Warszawie. Król sprowadzał z Włoch zdolnych budowniczych, a przy nich kształcili się i Polacy. Zamek królewski, zniszczony przez pożar, został odbudowany tak, jak jest obecnie, w stylu odrodzenia poważnym, bez żadnych przesadnych ozdób. Ale najpiękniejszą budowlą z tego okresu naszego budownictwa jest pałac w Łazienkach. Prawdziwe to arcydzieło smaku łączy w sobie okazałość z wdziękiem nieporównanym. Do piękniejszych budowli zaliczyć można kościół ewangelicki przy ulicy Królewskiej, w kształcie rotundy z kopułą i wspianym portykiem w guście greckim.

Wszystkie nowsze gmachy warszawskie budowane są w tym stylu odrodzenia, wykształconym na wzorach starożytnych, rzymskich i greckich. Spotykamy też w mieście naszym wiele budowli przystrojonych w arkady, kolumny doryckie, jońskie i korynckie. Niezbyt wielki, ale gustowny kościół Ś-go Aleksandra, ukończony w r. 1826, ma kształt rotundy z kopułą i dwoma portykami. O kilkanaście lat późniejszy kościół Ś-go Karola Boromeusza przy ulicy Chłodnej budowany jest na wzór bazyliki Santa Maria Maggiore w Rzymie, o której dawniej wspominaliśmy obszerniej. W tymże samym stylu poważnego renesansu buduje się obecnie kościół na Grzybowie, największy ze wszystkich kościołów warszawskich.

Na tém kończymy ten rys pobieżny dziejów architektury, od najdawniejszych aż do najnowszych czasów. Teraz z kolei rozpoznamy dzieje innych sztuk pięknych.

M. J. Z.

## W CHACIE GÓRALSKIEJ.

OBRAZEK SCENICZNY DLA MŁODEGO WIEKU

w jednej odsłonie ze śpiewkami.

przez

Władysławę z Rogozińskich Izdebską.

### OSOBY:

BARTOSZOWA, wdowa po góralu.

JEDRUS, syn jój, lat 15.

KASIA, lat 14,

MAGDUSIA, lat 12, } córki Bartoszewej.

WOJTEK, brat cioteczny Jędrusia, lat 13.

NIEZNAJOMY, podróżny.

MATYS, góral.

MALCHER,

MALCHEROWA, } rodzice Wojtusia.

SŁUŻĄCY nieznajomego.

GÓRALE i GÓRALKI.

*Rzecz u podnóża Karpat w chacie Bartoszewej.*

Scena przedstawia ubogą chatę góralską; pod ścianą łóżko proste dębowe, nad niem obrazek Najświętszej Panny, dalej nieco okno, w głębi komina, przy którym na półkach garnki, miski i inne naczynia kuchenne; przy drugiej ścianie ława z prostym stołem dębowym; na środku izby kilka stołków drewnianych.

### SCENA I.

BARTOSZOWA, KASIA, MAGDUSIA

wszystkie w góralskich ubiorach, Bartoszowa krząta się u komina, Kasia siedzi, strużąc kartofle, Magdusia wchodzi, niosąc na rękach pęk chróstu.

BARTOSZOWA (biorąc chróst od wchodzącej Magdusi). Trzeba dołożyć na ogień, bo całym przygasło.. (kładzie na ogień gałązki).

MAGDUSIA (stając obok matki). Nie przyszedł jeszcze Jędrus, matusiu?

BARTOSZOWA. A nie powrócił.. nie wiem gdzie poszedł nicpoń i dotąd bawi, już parę

godzin ledwo będzie z nami i zamiast spędzić je razem, włóczy się gdzieś tam po górach. Pewno pobiegł ptaki z gniazd wybierać, albo z chłopcami pięć się po skalach; to miłsze mu, niż matka i siostry, z którymi rozłączy się, Bóg wie na jak długo.

KASIA (strużąc kartofle). Ej! nie sądźcie go tak źle, matuniu. Jędrus dobry chłopiec; kocha nas szczerze i radby z serca te parę chwil ostatnich spędzić tu z nami, gdy nie powrócił, znać ważna jakaś zatrzymała go sprawa.

BARTOSZOWA (pomrukując). Sprawa... tak... juźci... łatwo wynaleźć ją, gdy kto chce koniecznie. (po chwili) Mój miły Boże! mnie mało serce się nie rozstąpi... przyrzadzam mu co mam najlepszego na to ostatnie śniadanie... (coraz rzewniej) na myśl rozłączenia z nim, łzy zalewają mi oczy, a ten urwis poszedł i za nic wszystko uważa sobie! Oj! smutna dola wasza, biedne matki, smutna! wychowaj z biedą, wykarm, wypiąstuj, a potem oddaj światu, jakoby obce... nie swoje! (ociera oczy fartuchem).

KASIA. Ej! bo nie wiem dlaczego matuchno zgodziliście się na tę wędrownkę Jędrusia? kiedy do dzisiaj w chacie starczyło dlań chleba, toby go nie zbrakło i nadal przy pomocy Bożej, a gdyby skąpo dlań było, to my obie z Magdusią oddałybyśmy połowę jadła Jędrkowi, byle został w chacie i nie porzucił nas... (do Magdusi) nieprawdaż, siostriuniu?

MAGDUSIA. Juźci tak... juźci! droga matulenko, (całuje rękę Bartoszej) ja z chęcią oddam codzienną połowę mego śniadania, Kasia połowę obiadu, i pożywi się Jędrus, a nie puszczajcie go w świat, nie dajcie mu odchodzić od nas, na wszystko was proszę! (skłania się jej do kolan).

BARTOSZOWA. Nie rozumiecie wy tego, moje dziewczuchy! co innego chłopcu, a co innego dziewczynie; wuj Malcher koniecznie żąda, by szedł na wędrownkę, mówiąc, że tu w domu nic z niego nie będzie; wiecie, że wuj jest naszym opiekunem, żeśmy sieroty, nie mamy oglądać się na co, zatem sprzeciwiać się wujowi nie mogę, zresztą tu u nas w górach skąpo urodzaju, niedostatek chleba, pocóż ma biedę cierpieć, kiedy wśród lu-

dzi zarobić i z oszczędności nadal uskładać coś może? Mimo więc że żalność rozrywa mi duszę, nie mogę stawiać oporu wędrownce mego Jędrusia! (odwraca się, by otrzeć łzy z oczu).

KASIA (powstaje i przybliżyła się do matki). Matulul... ja widzę... oj, wy płaczecie za Jędrkiem, matulu... gdy trzeba koniecznie, jak mówiliście, dyć to nie wy jedni przecie? (spogląda jej w oczy).

MAGDUSIA (z drugiej strony). Nie płaczcie, matko... moja matulenko! pobiegnę ja i zaraz Jędrka wam tu przyprowadzę! (wybiega środkowemi drzwiami).

## S C E N A II.

BARTOSZOWA, KASIA.

BARTOSZOWA (smutno). Tak... dyć to prawda... nie pierwsza ja i nie ostatnia wyprawiam w świat dziecko, są wszakże matki szczęśliwe, które mając czém wyżywić swoje niebożęta, niepotrzebują rozłączać się z nimi, mnie jednak Bóg nie dozwolił szczęścia takiego!

KASIA (spoglądając tklawie na nią). Myślicie, matuniu, że my nie czujemy tego i nie dzielimy waszej żalności? dziś całą noc z Magdusią przepłakałyśmy obie, na myśl naszego z Jędrkiem rozstania i radziłyśmy długo, coby uczynić, aby zatrzymać go można? nie wszakże wymyśleć niezdolałyśmy (wzdycha).

## S C E N A III.

BARTOSZOWA, KASIA, MAGDUSIA.

MAGDUSIA (wbiegając). Matusiu! matulu... idzie już Jędrak nasz, idzie... będzie tu za chwilę, jeno zatrzymał się trocha.

BARTOSZOWA. Gdzie? na czém takim... ciekawam?

MAGDUSIA. A to, matuchno, przykleknął pod krzyżem, co na skale stoi, przystroiwszy go wprzód w świeżo przyniesione kwiaty, i modli się nieborak, a płacze... (drżącym z rozrzewnienia głosem) ach płacze, matusiu... a tak gorąco i rzewnie, że słuchać niepodobna! ukryłam się poza skałą, by mnie nie spostrzegł i wszystko widziałam, nie mogąc

wszak dłużej wytrzymać tam, biegnę, by wam opowiedzieć rzecz całą!

BARTOSZOWA (gładząc jej czoło). Dobrze, dziecko moje! idź mi jeszcze nazbieraj gałązek, aby śniadanie prędko ugotować.

MAGDUSIA. Idę, matucho... ale nie łajcie Jędrusia... on nic nie winien... nie poszedł, jak myśleliście, gonić za ptakami, ani się drapać po skałach, ale zbierał kwiaty na chwałę Bożą i teraz mówi paciorek!

BARTOSZOWA (gładząc jej główkę). Idź... idź... już nic mu nie powiem!

(Magdusia wychodzi).

#### SCENA IV.

KASIA, BARTOSZOWA.

KASIA (do Bartoszej). Widzicie, matko... Jędrus nie tak zły, jak go sądziliście... poszedł prosić Boga o łaskę i opiekę nad sobą...

BARTOSZOWA. Nie mów mi już o tém... nie mów! bo więcej jeszcze rozżalasz biedne serce moje! (po chwili do Kasi) pójdę zajrzeć do obórki, a ty... dopilnuj tu jądła. (odchodzi, ocierając oczy fartuchem).

#### SCENA V.

KASIA (sama). Biedna matulo! jakże mi żal jęć... jak mi żal Jędrusia, a tu trzeba się ukrywać i nie pokazywać żałości, aby nie martwić obojga... o! jak to ciężko... Boże, wielki Boże! (słychać zdala głos Jędrusia nuącego piosenkę).

KASIA (słuchając). To on... on śpiewa... co słyszę (nadśłuchuje) tak... to głos jego... on w takiej chwili wesoły!... czyliby Magdusia skłamać miała?

#### SCENA VI.

KASIA, JĘDRUŚ.

(Jędrus w ubiorze góralskim wchodzi śpiewając wesoło).

Niemasz jak życie górala  
Hejże góry, hejże hala!  
La la la la la la la la  
Niemasz jak życie górala!

(podskakuje wesoło, wbiegając, zdejmując torebkę skórzaną i kładzie ją na stole).

KASIA (zbliżając się do niego). Jędrku... Jędrusiu... zastanów się! jak ty śpiewać możesz... matka się łzami zalewa na wspomnienie o twojej wędrówce, a ty się weseliś! O! tyś niedobry... niepocziwy... niemasz Boga w sercu.

JĘDRUŚ. El chcesz więc, bym siedział jak sowa; lub płakał tu z wami? to nie przystoi mężczyźnie... pójdę w świat... bo tak wypadło... tak trzebał... cóż mi pomoże, chociażbym płakał i na śnierz zapłakał się nawet? co Bóg i starsi każą, to wypełnić trzeba! (z ukrytym westchnieniem bierze kawałek drewnianka, wyjmując kozik z za pasa, i ociosując go, śpiewa żałośnie):

Oj! wy góry, nasze góry,  
Sine fale, modre chmury,  
Śród was buja człek jak ptaszę,  
Oj! wy modre góry nasz!

Kto śród was pobył choć trocha,  
Ten was ponad życie kocha,  
Sine fale, modre chmury,  
Oj! wy góry, nasze góry!

KASIA. Przestań... przestań na Bogal... bo gdyby matka usłyszała, to nie wiem, co by się z nią stało! ty nie masz serca... nie kochasz matki... nie masz do niej przywiązania Jędrku, bo inaczej...

JĘDRUŚ (podchodząc ku niej). No, cóż... cóż inaczej? mówże... cóż przecie?

KASIA. Inaczej nie mógłbyś śpiewać w chwili tak smutnej, żal nie pozwoliłby ci głosu dobyć z piersi! Boże! gdybyś ty widział przed chwilą matkę naszą... gdybyś widział jęć łzy... jęć żal za tobą serdeczny! (zakrywa oczy fartuchem, łkając).

JĘDRUŚ (z wyrzutem, powstając z ławy). I na cóż mówisz mi o tém? na co rozraniasz mi duszę i wydierasz to, co ukryć chciałem głęboko? czy myślisz, że ja nie znam matki naszej? że nie oceniam jęć przywiązania? wszak postanowiłem być dzisiaj wesołym, by nie dać poznać matusi swojego smutku, iż was porzucić muszę, a ty gwałtem przywodzisz mnie do żałości... (drżącym ze wzruszenia głosem) wydierasz łzy, które zataić chcia-

łem... rozrzniasz biedne serce moje... o Boże... wielki mój Boże! (siada i płacze).

KASIA (biegnąc z uściskiem do niego). Przebac mi, przebac, Jędrusiu, nie gniewaj się na mnie... ja wiem, żeś ty dobry... poczywył... wszak mimo wszystko wolę cię widzieć płaczącym, niż słyszeć śpiew twój w takiej ciężkiej chwili! (spogląda w okno) Otóż i matka nadchodzi... otrzyj oczęta, by niedostrzegła żalu twojogol (całuje go w czoło).

JĘDRUŚ. Tak, teraz... teraz... udawać mi każesz wesołość, kiedyś mnie rozżaliła do głębi!

KASIA (całując go). Wybac i uspokój się... przez wzgląd na matkę naszą, ja ciebie proszę... proszę na wszystko, Jędrusiu!

(d. c. n.)

## MĘCZENNICZY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

Paulinę Krakowową.

(Dokończenie).

„Opis życia Świętego Wojciecha,“ napisany w Rzymie przez Kanapariusza a dopełniony przez Świętego Brunona, towarzysza świętego apostoła i męczennika, został nakoniec wykończonym. Kopista sandomierski nie już dodać nie miał zamiaru, bo widział, że wszelkie dodatki już tylko mogły zmniejszyć wartość rękopisu. Pargaminowe kartki leżały ułożone na stole, związane nitką czerwoną, Bruno, wsparłszy głowę na rękę, dumal pogrążony w łagodnym smutku, Józwick stał naprzeciw niego czekając, czy nie przemówi; nakoniec spytał:

— Już więc dłużej pisać tego nie będziecie?

— Już skończone; należy tylko włożyć w deseczki i oddać Ojcu przeorowi.

— A gdzie on też to może położyć? — rzekł chłopak, oglądając się dokoła.

— Dzieckol—zawołał Bruno, podnosząc

nagle głowę—zkaąd ci przyszło pytać mnie o to? czyś wyczytał na mojem czole grzeszną i pyszną myśl, co pod niem właśnie powstała?

Zatrwożony chłopak stał w milczeniu, nie rozumiejąc. Bruno mówił powoli.

— Widzisz, grzesznik ze mnie wielki, zamiast dziękować Bogu serdecznie za to, że mi pozwolił dokonać com pragnął, zacząłem właśnie rozmyślać, że co zrobiłem pięknem jest.

— Alboż to nie prawda, ojcze? Toż się wszyscy dziwują!

— Że za piękne, by w tym ubogim klasztorze pozostać miało.

— A gdzieżbyście chcieli? — pytał Józwick, jakby od niego zależało spełnienie życzenia swego opiekuna.

— Oto myślałem jeszcze, że gdyby się tak zwój cały dostał do S-to Krzyżkiego klasztoru na Łysą górę, toby się na nim poznali Benedyktyni, co tam mieszkają i pewnie sami podobne księgi piszą, a może—możeby więcej ludzi tam bywających widziało—no! i chwaliło...

Kończył, pochylając chmurne czoło; podniósł je wnet zarumienionem, wstał z ulubionej ławy i patrząc pogodnie, dodał:

— Widzisz, dzieckol to była myśl grzeszna i niewdzięczna. Za ojcowski przytułek, za tyle lat spokoju, za zyczliwość, jaką mi tu ojcowie okazywali, nie miałbym im zostawić tego, co pod ich dachem wykonałem? Nie, choćby nikt nie pochwalił, nikt nie widział, wszak Bóg widzi i patrzył na moją pracę i czytał w mojej myśli!

Zamyślił się znowu.

— Tak, jutro pójde do przeora, wyspowiadam się i poproszę, by mi pozwolił zacząć nowicyat, a z rękopisem uczyni co zechce. Nauczę się prawdziwego ubóstwa i pokory.

Kłęknał pod oknem i utkwivszy wzrok w szyby porośnięte srebrnymi liśćmi ze szronu, któremi początek Lutego ozdobił je bogato, modlił się długo i głęboko, aż póki dzwonek donośnym dźwiękiem nie wezwał na posiłek do refektarza.

Po obiedzie ojcowie odetchnawszy udali się jak zwykle do chóru, by odpiewać nie-

szpory i odczytać, co w pobożnych księgach na ten dzień było naznaczone.

Brunon zwyczajem swoim ukląkł w otwartych drzwiach na progu, myśląc z rozrzwiniem, że niezadługo i on jako braciszek świętego Dominika, w jego szatę przybrany, będzie miał swoje miejsce w chórze; będzie pięćdziesiątym, a nie jak dotąd samotnym na świecie.

Józwik wsunął się do biblioteki, popatrzyć jeszcze dziś na księgójca Brunona, jak mówił, kiedy jutro miała zostać oddaną przeorowi.

Tymczasem w chórze bracia w właściwych ławkach, a przeor przed swoim kłęcznikiem, odmawiali wzniosłe psalmy Dawida, składające nieszporne nabożeństwo, a odmawiali je goręcej może niż zwykle z powodu, że już od kilku dni zgromadzało się mnóstwo ludzi z okolicy, szukając w mieście schronienia, dotąd tylko przed popłochem i wieścią, jakoby znów zdaleka gdzieś pokazywali się Tatarzy. Zakonnicy modlili się za ten lud przerażony, błagali Boga, by udarował roztropnością zacnego Piotra Krempe, dowodzącego w sandomierskim zamku i błogosławił mężstwu jego i przygotowaniom obrony. Już się skończyło nabożeństwo; jeden z braci, na którego to właśnie przypadło, wyszedł z ławki i postąpił do pulpitu, stojącego wśród chóru, by przeczytać imiona i opis zgonu świętych męczenników, którzy w dniu tym odbierali cześć w kościele. Stał chwil kilka, przetarł sobie oczy, a cała twarz jego śmiertelnie pobladła.

— Coż to wam, bracie?—zapytał przeor.

Teraz zakonnik przyszedł do przytomności i nagłym ożywionym natchnieniem, donośnie wygłosił:

— Dziś w Sandomierzu męka Sadocha i czterdziestu dziewięciu braci z nim razem.

— Co to może być takiego?—wyszło z ust wszystkich zapytanie. Za przykładem przeora, bracia zbliżyli się do pulpitu i na rozłożonych kartach martyrologii wszyscy ujrzeli wypisane ognistymi głoskami dopiero przeczytane słowa, a korząc się przed widocznym cudem, padli na twarze w gorącej modlitwie.

Wieszczę głoski znikły z księgi, ale psal-

my i suplikacje trwały jeszcze długo i żarliwie; nakoniec przeor Sadoch podniósł się najpierwszy; twarz jego sędziwa jaśniała



Wnętrze salonu XVIII wieku w pałacu dawniej Słuszków, (w stylu renesansu <sup>1)</sup>).

świętym uniesieniem, ukląkł przed kapłanem, który był prorocstwo przeczytał i poważnie, spokojnie, głośno odbył przed nim

<sup>1)</sup> Pałac ten dziś już nie istnieje, na jego miejscu, przy Aleksandrya, stał Szpital Dziecienny.

spowiedź, a otrzymawszy rozgrzeszenie, udzielił je z kolei każdemu bratu i przystąpiwszy do ołtarza, udzielił im, pomimo spó-

swoje promienie w okna zaiskrzone szronem i ozłociło jakby blaskiem świętej chwały wszystkie te głowy, pochylone kornie ku ziemi. Świętobliwy przeor zanucił od ołtarza:

„Witaj, Królowo! Matko litości,  
Nadziejo nasza, życia słodkości.“

Wdzięczna pieśń zabrzmiała zgodnie i uroczyście.

Nagle zadzwieczał gwałtownie dzwonek u furty, to odzwierny chciał dać wiadomość klasztorowi o czemś nadzwyczajnym, lecz już nie było tego potrzeba. Jak wicher, jak burza łamiąca wszystko w przechodzie, wpała z przeraźliwym wrzaskiem czerń Tatarska w ciche dotąd klasztorne ściany; w jednej chwili chmurą całą uderzyli do chóru, gdzie ich wiodły pobożne głosy świętych śpiewaków, i z pieśnią razem popłynęły w niebiosa duchy męczenników z piersi ich otwartych barbarzyńców orężem.

Brunon po spowiedzi wrócił na dawne swoje miejsce u progu i jak przez dzikie zwierzęta stratowany przez Tatarów, zakończył życie w dniu dokonczenia swojego dzieła. Furtyan i stróż nie przeżyli przejścia straszliwych gości. Już oni napadając klasztor wracali z rabunku, mordów i pożogi; ostra zima 1200 roku ułatwiała im drogę, stawiając lodowe mosty na rzekach; obdarłszy ołtarze kościoła i przekonawszy się, że w klasztorze nie było nic takiego, co by ich nęcić mogło, rzucili tu i owdzie płonące żagwie i w zgiełku, wrzawie, pisku i wrzasku opuścili dom boży, pędząc w stronę zamku, zamierzając go dobywać.

Przywiedli zamiar ten do skutku siłą i zdradą, pomimo dzielną obronę; rozleli się na miasto i wieś przyległą, a na białym zimowym kobiercu strugi krwi, płynące szeroko, oznaczyły przejście pogańskiej tłuszczy.

Józwik, przeglądający w bibliotece rękopis swojego opiekuna, rozmyślał nad wszystkim, co od niego przed obiadem usłyszał, nie rozumiejąc dobrze, co on to o grzechu i o spowiedzi mówił; tentę i straszliwe krzyki wyrwały go z rozmyślenia. Hałas był tak okropny, tak dziki i niesłychany, że chło-

źnionej dnia pory, święty wijatyk, jako wzmacnienie na drogę wieczności. Słońce, chyląc się ku zachodowi, rzuciło ostatnie



pak przestraczem zdjęty, nie rozważając, co ma czynić, chwycił rękopis ze stołu, przycisnął go do piersi i wsunął się z nim przez otwór przedni pod ławę, oczekując co dalej nastąpi.

Po przeraźliwych wrzaskach, których sobie niczem objaśnić nie był w stanie, drżący z przestraczu, w czas jakiś począł chłopiec zbierać myśli, a gdy nakoniec wszystko ucichło i żadnego ruchu, żadnego szmeru słychać już nie było dokoła, przelękły tém milczeniem niezwykłym o wieczornéj już porze, wyszedł ze swego ukrycia, ze zdziwieniem ujrzał, że koło niego wszystko było na swém miejscu i powoli, ostrożnie, puścił się na dalsze poszukiwania.

Z cel i refektarza, gdzie napotkał ślady licznych kroków i zniszczenia, korytarzem, po którym dym się rozchodził, doszedł Józwik do chóru, gdzie go wiodła linia światła, pochodzącego jak mniemał ze świec zapalonych na ołtarzu. Widok, jaki go tam spotkał, zmroził krew w jego żyłach; wszyscy zakonnicy wymordowani, w śmierci jeszcze zachowali na twarzach wyraz świętego spokoju, białe ich szaty w części w purpurowe się zmieniły, w pośrodku od główni zatliła się podłoga i gorzał pulpit, rozlewając dym i płomienne blaski w około. Po krótkim odurzeniu, obejrzał się Józwik baczniej, i blisko progu na podłodze dostrzegł coś podobnego do czarnej szaty jego ukochanego ojca Brunona; pochylił się, spojrział, chciał unieść drogie sobie szczątki, widząc jednak niepodobieństwo, złożył na bladém czole tkliwe pocałowanie i wzruszony głęboko wyszedł z chóru, gdzie szerzące się zwolna płomienie nowe w nim wzbudzały obawy.

Zszedł do furty, sam nie wiedząc po co, bo objaśnienia już żadnego nie potrzebował, furtyan zabity i odrzucony na stronę, w budce stróża mieszkaniac jej nieżywy; w całym klasztorze nie było więc prócz niego żyjącej istoty, zdjął go strach osamotnienia; pierwsza myśl, jaka mu w głowie powstała, była:

— Uciekać!

Wszelako, lubo drogę miał otwartą, chłopak powrócił do klasztoru, już mu się jakos

jaśniej robić zaczęło w duszy; poszedł prosto do biblioteki, przy bladém świetle księżyca, oświetlającym cele, wydobyl rękopis ojca Brunona, ucałował go pobożnie, położył sobie na piersiach, przytwierdził sznurkami, potem z kąta wyjąwszy swój kożuszek, okrył się nim ze swoim skarbem, mówiąc:

— Niechże się choć w tém spełni ostatnia jego wola!

Potém przezegnał się u kropielnicy, zarzucił kaptur od kożucha na ciężko sfrasowaną głowę i wyszedł w otwarty, biały śniegiem, błyszczący mrozem świat, co się szeroko przed nim rozścielał.

Za furtą spojrział na prawo, w Sandomierzu huczał, chociaż oddaleniem stłumiony, znany mu już gwar złowrogi, a tu i owdzie buchały płomienie; na lewo liczne ogniska i ruch licznych czarnych postaci koło nich, nie wróżyły nic pomyślnego, bo też rzeczywistość było tam obozowisko tatarskie, okrążył więc klasztor i puścił się w stronę, która mu się cichszą i pustą wydawała. Jak długo szedł, jak błędził, zawracając od śladów tatarskiego przejścia po drodze, jak upadał z zimna i głodu, nie spotykając ani chaty ani człowieka, to sobie czytelnicy równie jak ja wyobrazić mogą; czasem spotkał starego o kiju żebraka, co nic nie mając, smielszym od innych szedł krokiem, a okruciami z swéj torby pożywił drętwiącego chłopca i wskazał mu kierunek, w którym iść było trzeba, by się dostać do Święto-Krzyżkiego klasztoru Benedyktynów. Kierunek ten szedł przez lasy, po których, wyczerpawszy ostatnie siły, Józwik o świetle dnia pewnego znalazł się przed obszernym klasztorzem.

Pociągnął za dzwonek, milczenie — po jakim czasie sam uchylił furtę i ujrzał taki sam obraz, jaki w Sandomierzu opuścił, bo już tedy przeszło było pohaństwowol Pociągnął jednak ostatniem wysileniem przez cele i gmachy, przez szczątki ludzkie, głównie i popioły, a trzymając się już ściany stanął w bibliotece; poznał to po pargaminach i księgach porzrzucanych i po części zatłoczonych na kamiennéj podłodze.

Obejrzał się naokoło, a upatrzawszy na głównéj ścianie ocalałą jeszcze półkę, zdjął z piersi swojej: „Opis życia Świętego Woj-

ciecha“ złożył go na desce, starłszy ją wprzód rękawem i padł bez życia z wyrazem szczęścia na wyschłej twarzy.

K O N I E C.

## Medalik z roku 1768.

POWIEŚĆ

przez **Z. MORAWSKĄ.**

(*Dalszy ciąg*).

— Ojciec mój — rzecze Magdusia — jakże ja wam dowiodę, że nie wstydzę się was, lecz czuję się bardzo szczęśliwą, iż mi Bóg dał was odzyskać, chciałabym dla was pracować, ażeby po tylu nieszczęściach teraz wam na niczem nie zbywało.

— A mnież, gołąbko moja, co potrzeba? ja przy tym kościele zostanę, aby się modlić o twoje szczęście. Ale gdzież ta pani, co ciebie wychowała, niechaj się dowiem prawdy... Może ja się tylko ludzę...

— Całej prawdy dowiemy się chyba od tej pani, gdy powróci — rzecze p. Lesiński. — Córkę waszą wychowała przełożona pensyi, w której i moja córka pobierała nauki w Warszawie; ale teraz pani ta wyjechała i powróci dopiero za tydzień. Z wyjaśnieniem więc, zkąd wzięła waszą Magdusią, musimy się wstrzymać do jej powrotu. A tymczasem, Grzegorz, nie psujcie sobie szczęścia przykreimi przypuszczeniami i ufajcie, że Bóg zesłał wam całkowitą radość.

— Ojciec mój — rzecze Magdusia — ja pójdę z wami do waszej chaty, dam wam poznać, że jestem waszą prawdziwą córką, służąc wam jak powinnam.

— Dziecięz ty moje, a jakżebym ja ciebie wziął na taką pracę, ty nie przywykła do takiego życia, ani do grubego chleba.

— Nie, Magdusiu — rzecze p. Lesiński — zamiast ulgi przyniosłabys kłopot tylko ojcu. Zostaniesz między nami, dopóki twoja opiekunka nie przyjedzie i nie postanowi o

twoim dalszym losie. Ona niech wszystko wyjaśni, od niej cię wziąłem i jej rachunek muszę zdać z opieki nad tobą, a tymczasem Grzegorz nas będzie codziennie odwiedzać i my chodzić będziemy do niego.

— Tak, panoczku mój — rzekł Grzegorz, powstając — wy wszystko mądrze i dobrze radzicie. Ciebie niech Bóg błogosławi, drogie moje dziecię, ja niegodny jestem takiej córki, to prawdą być nie może, to ehyba sen tylko. Ależ to podobieństwo uderzające! Panoczku, wyście tacy dobrzy, nie śmiejecie się ze mnie, że ja mówię jak niespełna rozumu, ależ i z wielkiej radości można zmysły postradać.

I zaczął znów przypatrywać się Magdusi, a biorąc ją za rękę, to przybliżał ją do siebie, to oddalał, powtarzając:

— Nie, to sen, to chyba sen, ależ ona taka podobna do mojej kobiety!

Nareszcie Grzegorz odszedł do chaty, a że wieczór był piękny, wszyscy go odprowadzili na plebanią i tam jeszcze na tańce przed domem księdza proboszcza dosyć długo gawędzili, proboszcz zaś zaprosił całe towarzystwo na drugi dzień na Mszę świętą, którą miał odprawić na intencją odnalezionych ojca i córki.

VI.

### Opowiadanie p. Nonon.

Po opisanym wypadku wszystko w Lesinie wróciło do dawnego porządku, a w parę dni otrzymano wiadomość, że p. Nonon wraca z zagranicy i przybędzie do Lesina, ażeby odwiedzić zacnych jego mieszkańców i zabrać z sobą Magdusią. Wszyscy byli uradowani jej powrotem. Ludwinia cieszyła się, że będzie mogła przyjąć w domu ojca swoją ukochaną ochmistrynią i jej córkę, a zarazem popisać się, że przez ten czas nauczyła się skrzętnie gospodarować i że jakąś część tego kłopotu ciocia zupełnie jej oddała. Magdusia pragnęła jaknajprędzej uściskać opiekunkę i dowiedzieć się, zkąd i od kogo ją wzięła do siebie. Pani Nonon nigdy jej nie mówiła o tem, powtarzając tylko: „Twoja matka umarła, jesteś sierotą.“

Grzegorz pragnął podziękować téj pani, która wychowała mu dziecię i upewnić się, że go głos serca i podobieństwo do matki nie myli. Słowem, przybycie pani Nonon było przez wszystkich niecierpliwie oczekiwane. Nareszcie przyszedł dzień oznaczony, a pod wieczór, za ledwie panienki wyszły za bramę, ujrzały powóz na drodze i jadących upragnionych gości.

Ile tam było okrzyków, powitań serdecznych, uściśnień, ten tylko może pojąć, kto witał swoich ukochanych po długim niewidzeniu. To tylko trudno sobie wyobrazić, ażeby mogło istnieć takie przywiązanie między uczennicą i dawną ochmistrzynią. A jednak, jak to już widzieliśmy, p. Nonon, umiała sobie tak te młode serca pozyskać, iż każda z jój wychowanie widziała w niej drugą matkę; a jeżeli jój rodzonej zabrakło, wiedziała, gdzie szukać rady i serca, któreby choć w cząsteczce zastąpić mogło skarb utracony. Ludka tém więcej przywiązała się do p. Nonon, że nie miała matki, lgnęła więc do téj, co wykształciła jój serce i umysł, oraz wskazała obowiązki; Magdusia zaś wszystko zawdzięczała swój dobrodziejce. Powitanie więc nie mogło być serdeczniejszym. Pytania sypały się bez ładu, chciano wszystko naraz opowiedzieć.

— O jakże mi moje dziewczątka urosły przez te dwa miesiące—rzekła pani Nonon, wkrótce po powitaniu—Ludka ma minę zupełnie dorosłej, a Magdusia nabrała cery, jakiej nigdy w swém życiu nie miała. Wiesz wyraźnie ci posłużyła, moje dziecię.

— O tak, droga pani, jestem rzeźwiejsza, czuję to sama, że mi dużo sił przybyło do dalszej pracy—odpowie Magdusia — bo też teraz powinnam pracować więcej jeszcze niż dawniej.

— Zapewne, moje dziecko, jesteś starsza i coraz więcej rozumiesz, jakim dobrodziejstwem jest dla nas praca i nauka.

— Myśmy i przez wakacye nie próżnowały—rzecze Ludwinia—a szczególnież Magdusia, która Bóg wie co sobie za zajęcia wymyślała.

— Ale jak ja dużo nauczyłam się od p. Magdaleny—rzecze Józia.—Ho, ho, podróżywałyśmy po całej Europie, porachowały

już niewiem ile patyczków i grochu; ale pani nie wie wielkiej nowiny? — szczebiotała Józia!—Aha, prawda, ojciec nie kazał nic mówić, chce sam opowiedzieć.

— Tak, a moja córeczka ślicznie wypełnia rozkaz—rzekł wchodząc p. Lesiński, który po przywitaniu, poszedł dać jakieś rozporządzenia gospodarskie. Ale teraz rzeczą panie przejść na ganek, gdzie nasza młoda gosposia kazała przygotować jakiś ochładzający podwieczorek, a potem dojdziemy do wielkiej nowiny, niech tylko panie troszkę odpoczna.

Na ganku Ludwinia, zabrawszy pannę Nonon, gospodarowała, zastawiając coraz to nowe wiejskie przysmaki i opowiadając w skróceniu dzieje wakacyi; wkrótce przy bramie psy zaczęły szczekać radośnie i ukazał się stary Grzegorz. Magdusia poczerwieniała, a pan Lesiński rzekł:

— Chciałem do jutra zatrzymać owę wielką nowinę i pozwolić pani odpocząć, ale jak widzę, wszystko się składa na to, że dziś muszę szanownej pani ją opowiedzieć i o wiele rzeczy zapytać.

— Owszem—rzecze p. Nonon—nie jestem tak zmęczona, ażeby nie mogła wysłuchać opowiadania, lub na zapytania odpowiedzieć, widząc zwłaszcza, że młode towarzystwo ta nowina jakoś obchodzi.

— Pani moja, jedyna opiekunko kochana—rzecze Magdusia, klękając nagle u kolan p. Nonon i całując jój ręce—co wiesz o mojem dzieciństwie, co wiesz o moich rodzicach?

— Magdusiu, co znaczy to pytanie, z kądem ci przyszło w téj chwili przerywać rozmowę i zapytywać mnie o to?—rzecze pani Nonon.

— Magdusia jest właśnie tą osobą interesowaną—odpowie p. Lesiński.—Wielka nowina, o której wspomniała Józia, jój się głównie dotyczy. Jest tutaj stary człowiek, biedny kaleka, który z podobieństwa do swój żony i medalika, który Magdusia nosi na szyi, poznaje w niej córkę. Zestawienie lat i faktów jest tak uderzające, iż potrzeba nam tylko objaśnienia pani do zupełnej pewności, czy rzeczywiście Magdusia jest córką tego oto kaleki, który idzie ku nam, a

któremu pozwól pani posłuchać opowiadania, jakim sposobem Magdusia znalazła się pod pani opieką.

— Z miłą chęcią opowiem wszystko, co tylko dotyczy dziewczęcia, ale niestety, mój dobry człowieku—rzekła p. Nonon, zwracając się ku chyłcemu do jej kolan Grzegorzowi—opowiadanie moje niewiele wyjaśni o pochodzeniu Magdusi, znalazłam ją bowiem w nędznej karczemce, gdzie podczas burzy, czternaście lat temu, zatrzymałam się jadąc od rodziny.

— Lat temu czternaście? — zapytał pan Lesiński.—Ależ Magdusia musiała być wtedy bardzo mała, zkądżeż się tam wzięło takie dziecko?

— Pozwólcie państwo, opowiem wam całą historią, która wyświecili, jakim sposobem Magdusia do mnie się dostała. Wracałam po wakacjach od krewnych z Podola, spiesząc do Warszawy, do moich obowiązków. Zdążyliśmy, aby na noc dostać się do jakiego porządniejszego miasteczka, po drodze bowiem spotykałam tylko małe brudne karczemki, gdzie samą jedną kobiecie z dzieckiem, jakim wtedy była moja córka, niepodobna było nocy przepędzić. Mieliliśmy tylko już trzy mile do miasta L. gdy burza zaczęła się srożyć. Niepodobna było jechać dalej, konie nie chciały postąpić ani kroku, musiałam więc zgodzić się na przeczekanie burzy w najbliższej karczemce przy drodze, do której woźnica skręcił. Kilku wieśniaków siedziało w brudnej izbie i jakaś kobieta z dzieckiem schroniwszy się tam przed deszczem. Burza szalała coraz bardziej, deszcz lał jak z cebra, trzeba było zanocować. Niezbyt uprzejmy gospodarz wraz ze swoją żoną, po długim namyśle i sówitej opłacie, zgodzili się zaledwie ustąpić mi swego alkierzyka, gdzie wraz z córką mogłam noc przepędzić, sami zaś przenieśli się do karczemnej izby, z której powypywaliśmy bez ceremonii wszystkich gości, została tylko podróżująca kobieta, której po długich prośbach pozwolił gospodarz przenocować w sieni karczemnej. Zrana obudziły mnie kłątwy, narzekania gospodarza i płacz dziecka. Przelękniona, co tchu zerwałam się, sądząc, że nam grozi jakie

niebezpieczeństwo. Wybiegłam do izby, nikogo w niej nie było. Przez otwarte drzwi do sieni dolatywała mnie jakaś kłótnia. Gospodarz krzychał: „Idź precz, szkaradna gadzino, czegoż tak wrzeszczysz!“ a słowem jego towarzyszyły uderzenia i żalony płacz dziecka. Odważyłam się iść dalej i ujrzałam, jak karczmarz bił małą dziecinę, która czepiała się rozciągniętej na ziemi kobiety. Karczmarka zlewała wodą głowę leżącej, kilkoro dzieci różnej płci i wieku, brudnych i obdartych, patrzyło na tę scenę. Cóż to się stało, dobry człowieku? A dyabeł wie, co się stało, ta szalona baba zawałiła nam sobą drzwi, ledwie ją ztąd odciągnęłam—odrzekł karczmarz. Szarpnię ją na wszystkie strony, czy umarła, czy co? a ta dziewczucha jeszcze czepia jej się i krzyczy. Dotknęłam głowy leżącej, była zimna, trupia bledność okrywała jej lice. Przyłożyłam rękę do piersi, nie było znaku życia, w całym ciele nic można go się było dobać; słowem kobieta umarła. Dziewczynka mała i wychudzona całowała ją w głowę i wołając: Matusiu, obudź się, mnie biją, mnie się jeść chce! Cicho, ty poczwaro! krzychał karczmarz, zamierzając się na płaczącą dziecinę, dam ja ci tu jeść. Lada przybłąda przywlecze się i człowiekowi tylko kłopotu nabawi. Zapewne, że będziecie mieli kłopot, odrzekłam, zasłaniając dziecinę; ale cóż wam winno to dziecko, że się nad nim znęcacie? kobieta zdaje się nagle umarła, idźcie dać znać do urzędu, umniejszycie sobie kłopotu; inaczey, trzymając ciało zmarłej, lub grzebiąc je potajemnie, możecie być pociągnięci do odpowiedzialności. A juści, potwierdziła karczmarka, pani mają racyą, niech sobie urząd przyjdzie i zabierze; o mój Jezu, mój Jezu, zawodziła kobieta, jak też to straszno mieć trupa tuż obok. Idź, stary, a żywo, niech go sobie zabiorą. Po namyśle karczmarz, nakławszy do woli, poszedł do urzędu. Namowami i kawałkiem ciastka z podróżnej torebki, odciągnęłam dziecinę od trupa matki. Dziewczynka ogrzana i nakarmiona ożywiła się troszkę, lecz nie mogłam się od niej niczego więcej dowiedzieć, tylko że matka na nią wołała: „Magdusia.“

A na matkę jak ojciec wołał? zapytałam: Ojca nie było, odpowiedziało dziecię. A jak sąsiedzi wołali na matkę: „Grzegorzowa, żołnierka“ odpowiedziała dziecina. Zkąd była i gdzie szła, próżne były moje pytania. Wypadek ten podróż moję opóźnił, bo kiedy zabierając się do odjazdu, powóz już zajechał i sama nie wiedziałam, co robić z dzieciną, której przecież zabrać nie mogłam, a zostawić żal mi było przy nieludzkim karczmarzu, nadszedł sołtys z wójtem, mówiąc, iż nie mogą zezwolić na mój wyjazd, jeżeli tuż obok mnie był wypadek nagłej śmierci, że w tój samej karczmie byli furman i lokaj, ludzie moich krewnych, którzy mię odwozili, musimy więc wszyscy stanąć do badania, nie chcąc być z drogi zwrócen i ściągnąć na siebie odpowiedzialności.

Trudna rada, trzeba było uleść i przesiedzieć dzień cały w nędznej karczmie, gdzie się smutny dramat odegrał. Szczęściem, że po nocnej burzy dzień był prześliczny. Było to w połowie Sierpnia. Zabrawszy córkę, poszłam do lasu. O południu zjechał lekarz i sąd z miasteczka, po otwarciu ciała zmarłej dowiedziono jasno, że kobieta zmarła w skutek zbytniego wycieńczenia i pęknięcia żyły sercowej. Przy zmarłej nie znaleziono żadnych papierów, a cały dobytek stanowiło siedm rubli i kilka zużytych koszul w węzełku. Od dziecka nie można się było nic dowiedzieć. Miało ono najwyżej lat trzy, z okolicy nikt nie znał zmarłej, widocznie pochodziła z daleka, a ubranie wskazywało wieśniaczkę ukraińską.

Zebrano z niej rysopis i miano poszukiwać dalej, żeby dojść, zkąd była, dla dopełnienia wszelkich urzędowych formalności. Tymczasem o dziecinę nikt się nie troszczył. Żal mi się jej zrobiło. Otrzymawszy więc zezwolenie zebranych urzędników, wzięłam ją z sobą, ku wielkiej radości mojej córki, i ruszyłam na całą noc, aby się dobić do jakiegoś porządniejszego miejsca. Na trzeci dzień potem stanęłam w Warszawie, gdzie w kilka dni już zaczęły przybywać uczennice. Dziewczątka zabrane nazwałam Przydroża, bo tak zwała się karczemka, z której ją zabrałam. Rosło to hoże i zdrowe i oto widzicie państwo tę małą wówczas dziewczynkę,

teraz kochaną moję Magdusię — to mówiąc uściśnęła serdecznie swoję wychowanękę.

A Grzegorz przypadł p. Nonon do kolan i całując ze łzami jej nogi, wołał:

— Pani moja jedyna, ciebie Opatrzność zesłała na drogę moję sieroty, jakże ci, o pani moja, mam błogosławić!

Łzy przytłumiły mu mowę — wszyscy byli wzruszeni, p. Nonon rzekła:

— Dobry człowieku, nie płaczcie i nie dziękujcie tak bardzo; Opatrzność zawsze wybierze kogoś, jako narzędzie swęj łaski; nie moja w tём zasługa, każdy uczyniłby toż samo na mojem miejscu.

Wychowałam ją i nie cofam swęj opieki, póki nie stanie o swoich siłach i nie zacznie pracować.

Biedny kaleka nie wiedział jednak, jak dziękować; brakowało mu słów na wyrażenie wdzięczności, wznosił tylko ręce ku niebu, a łzy gorące najwymowniejszym były dowodem, co czuło serce wojaka, na widok odnalezionego dziecięcia. (d. c. n.)

### Łamigłówka odwrotna. (R. A. K.)

Ułożyć 10 wyrazów, które na odwrót odczytane nie zmieniają się wcale. Pierwsze i ostatnie litery utworzą nazwisko znakomitego pisarza polskiego.

1. Kosztowny strój.
2. Herb.
3. Król Judzki.
4. Rozbójnik pokonany przez władcę Aten, Tezeusza, na międzymorzu Korynckim.
5. Rozporządzenie.
6. Pasma wzgórz w Westfalii.
7. Zniszczenie przez wodę.
8. Herb.
9. Strój damski.
10. Zaimek.

### Łamigłówka w kwadraciku. (Wł. N.)

W kwadraciku z 9 podziałek umieścić 2 A—1 D—2 J—2 L—1 N—1 S— aby odczytać w obu kierunkach: 1) Nazwę rzeki w Afryce. 2) Imię i nazwę góry. 3) Zbiór drzew.

### Rozwiązania do Numeru 47-go

#### Zagadki arytmetycznej:

.	.	.
.	*	.
.	.	.

.	.	.
.	*	.
.	.	.

#### Z a g a d k i: Kret.

## OD REDAKCYI.

Wieczory Rodzinne w roku następnym wychodzić będą pod dotychczasową redakcją, przy współprawnictwie tych samych autorów i autorek, w znacznie powiększonej objętości. Przez zwężenie marginesów dodajemy tyle druku, że każdy arkusz zawierać będzie daleko więcej treści, aniżeli obecnie z dodatkiem. Tym sposobem będziemy mogli rozwinąć niektóre działy, dziś dla braku miejsca zaniedbane. Pozostawiając dodatek

powieściowy dla starszych czytelników, wprowadzamy osobny dodatek ilustrowany dla młodziej dziatwy, gdzie obok powiastek, rozmówek i wierszyków, podawane będą wskazówki i wzory do zabawy. Oprócz tego do każdego Nru Pisma dodana będzie kolorowa okładka z ogłoszeniami stosownymi dla młodego wieku. Okładka ta przyozdobi Pismo i zarazem chronić je będzie od uszkodzenia.

Na rok przysły przygotowaliśmy dla naszych kochanych czytelników wiele pożytecznych i zajmujących rzeczy, między innymi: Obrazki historyczne *Anastazyi Dzieduszyckiej*, Powieści *Pauliny Krakowowej* i *Teresy-Jadwigi (Papi)*, Listy o bogactwie mowy naszej *Wł. Nowickiego*, Opisy różnych okolic kraju riaszego *M. J. Zaleskiej*, Pogadanki naukowe *téjże*. Wyprawa po skarby ukryte wśród puszczy, Przygody podróżników w Australii. W Dodatku powieść przerobiona z angielskiego, Księżniczka Katarzyna

*Pismo wychodzi pod kierunkiem literackim M. J. Zaleskiej.*

Wszystkich prenumeratorów upraszamy o jaknajwcześniejsze nadsyłanie przedpłaty wprost do Redakcyi. Tym sposobem jedynie unikną opóźnienia w odbiorze pierwszych Nruów Pisma.

Warunki prenumeraty: W Warszawie rocznie rs. 4 i kop. 10 na Szp. Dz., kwart. 1 i kop. 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub>. Na prowincyi i w Cesarstwie rocznie rs. 5 i kop. 10, kwartalnie 1 i kop. 27<sup>1</sup>/<sub>2</sub>.

**Biuro Redakcyi Mazowiecka Nr. 8.**

## Odpowiedzi od Redakcyi.

Toli i Wandzi J. w Sokolnikach. Rozwiązanie jest trafne i wcale się nie spóźniło. Wielu czytelników naszych powtarza toż samo życzenie, aby Pisemko, które ku wielkiej naszej pociesze, z zajęciem czytają, wychodziło częściej niż raz na tydzień. Pomimo najszczerzej chęci, dogodzić im w tym nie możemy, ale w roku następnym rozszerzamy znacznie objętość Pisma, donosimy o tym szczegółowo w Prospekcie i odezwie *Od redakcyi*. Spodziewamy się, że treść tak obfita wystarczy już nawet na *najdłuższe wieczory*. Serdecznie dziękujemy za uprzejmy i miły liścik.

Józiovi J. w Niszowcach. Metagram jest bardzo dobry i porządnie napisany, wydrukujemy go wkrótce; ale co to znaczy, że nie mamy żadnej wiadomości o tym, czy Autoś przesyłkę odebrał i czy z niej zadowolony? Mamie i rodzeństwu przesyłamy serdeczne pozdrowienie, a malutkiemu Jasiowi ślicznie dziękujemy za to, że już zawczasu zapoznaje się z *Wieczorami*, nim je czytać zacznie i sam liścik do redakcyi napisze.

P. M. uczniowi klasy II. Łamigłówkę zamieścimy.

Janince N. w Zasadkach. Cóż to za miła niespodzianka po długim milczeniu, któregośmy sobie wytłómaczyć nie umieli, ale teraz pojmujemy wszystko i cieszymy się szczerze, że tak niebezpieczna choroba szczęśliwie przeminęła. Cieszymy się także obietnicą dłuższego liściku, bo serdeczniejszego i miłszego pragnąć już nie możemy. Prosimy o wiadomość, czy przesyłka, którą wyprawiliśmy na pocztę według wskazanego adresu, doszła szczęśliwie. Przypominamy, że adres naszej redakcyi nie jest S-to Krzyżka, ale Mazowiecka Nr. 8. Najlepiej też dla uniknienia pomyłek nie wymieniać żadnych nazwisk, ale adresować po prostu *Do redakcyi Wieczorów Rodzinnych*.

## T. Papi (Teresa-Jadwiga).

Zawiadamia Szanowną Publiczność, iż przyjmuje PANNIENKI, które chcą pobierać nauki w Warszawie; daje im opiekę troskliwą i zapewnia rozmowę w obcych językach. Wiadomość przy ulicy Wielkiej Nr. 16.

## ZAKŁAD NAUKOWY ŻEŃSKI

JADWIGI HERMAN

PRZY ULICY WIELKIEJ Nr. 16

przyjmuje uczennice stałe i przychodnie.

## OGŁOSZENIE.

Dla prenumeratorów *Wieczorów Rodzinnych* są do nabycia w redakcyi następujące dzieła:

**Album Willanowa**, przepyszne wydanie, z opisem *Skimborowicza* i *Gerzona* . . . . . rs. 6 k. —.

**Królowie Polscy**, dla młodzieży w ozdobnej oprawie. Poczec złożony z 43 portretów podług rysunku *T. Malleszewskiego* . . . . . rs. 2 k. 50.

Wydawnictwa *Wł. Nowickiego*:

**Szlachetna zabawa Ser. I.** — k. 60.

„ „ Ser. II. — „ 65.

**Początki języka** . . . — „ 40.

**Jak uczyć początków języka** . . . . . — „ 20.

**Podwieczorki u Jadzi**, przez *Jaskótkę* . . . . . rs. 1 k. —.

**Pogadanki naukowe**, przez *M. J. Zaleską* . . . — „ 30.

**Wakacje Janka i Zosi** . — „ 75.

Treść.—Józef Brandt, (z drzeworytem).—Ufność dziecięcia, (wierszyk), przez Z. Morawską.—Pogadanki o sztukach pięknych, (z drzeworytem).—W chacie góralskiej, obrazek sceniczny dla młodego wieku, przez Władysławę z Rogozińskich Izdebską.—Męczennicy, opowiadanie historyczne, przez Paulinę Krakowową, (dokończenie).—Medalik z roku 1768. Powieść przez Z. Morawską, (dalszy ciąg).—Łamigłówni.—Rozwiązania.—Od redakcyi.—Odpowiedzi od redakcyi.—Ogłoszenia.

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2½. *Miesięcznie* kop 34 i pół. Na Prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 27½ w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki We Lwowie u Gubrynowicza Schmidta *Rocz.* 7 zlr. 20 cent. *Kwart.* 1 zlr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 zlr. 80 cent. *Kwart.* 2 zlr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 zlr. 60 cent. *Kwart.* 1 zlr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 zlr. *Kwar.* 2 zlr.

Biuro Redakcyi: Ulica Mazowiecka Nr. 8.

Дозволено Ценауром. Варшава, 16 Ноябрь 1881 года.—Redaktorka i Wydawczyni Ludwika Hauke.

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.